

Uwład sojuszu

14 marca 2025

Z niedowierzaniem obserwujemy kres reprodukcji pozytywnych więzi w ramach sojuszu północnoatlantyckiego. Zaangażowanie NATO pod przywództwem Joe Bidena w wojnę na Ukrainie przeciw Rosji doprowadziło w nowym kierownictwie USA do radykalnych przewartościowań.

Administracja Donalda Trumpa, przy skowycie beneficjentów dotychczasowej wizji ładu międzynarodowego, w której wojowanie z Rosją stało się strategiczną wytyczną i źródłem zysków, redefiniuje priorytety i szokuje dynamiką zmian.

Możliwe porzucenie Europy przez Amerykę, o którym nieraz napomykano, staje się faktem. Wykluczenie przywódców europejskich z mechanizmów konsultacyjnych i rokowań z Rosją jest trudne do przyjęcia nie tylko z powodów emocjonalnych, ale i prestiżowych. Grozi dyshonorem i „utrata twarzą”. Tymczasem trudno się dziwić Donaldowi Trumpowi, że nie ufa tym politykom, którzy jeszcze niedawno kolaborowali z jego oponentem Joe Bidenem i działali wspólnie na szkodę pokoju w Europie. Ich zaangażowanie w sprawy ukraińskie pozbawia je obiektywizmu w ocenie sytuacji, zwłaszcza w odniesieniu do Rosji. Polska i państwa bałtyckie są tego ekstremalnym przykładem.

Politycy amerykańscy nowej administracji doskonale zdają sobie sprawę ze słabości państw europejskich w samodzielnym sfinalizowaniu „projektu ukraińskiego”. Same aspiracje i napinanie mięśni nie wystarczą. Tercet brytyjsko-francusko-niemiecki nie jest spójny, nie mówiąc o innych państwach. Zanim osiągnie jakikolwiek sukces, zdąży poróżnić się między sobą. USA dobrze pamiętają, że Europejczycy bez ich pomocy nigdy nie daliby sobie rady z agresorami w obu wojnach światowych. Kto wie, jak zatem potoczyłyby się losy ewentualnego starcia Europy (unijnej i atlantyckiej) z

hegemonem kontynentu, jakim jest Rosja? Czyżby kolejne wkroczenie USA, być może wraz z Chinami, musiało pomóc w przywróceniu pokojowej stabilności kontynentalnej?

Trump demontuje...

pozostałość po „zimnej wojnie” w postaci zinstytucjonalizowanego bloku wojskowo-politycznego. Po rozpadzie ZSRR i zniknięciu bloku wschodniego w USA zabrakło nie tylko woli politycznej, ale i odwagi, zwłaszcza w obliczu wystraszonych Europejczyków, aby zlikwidować wtedy wzorem Układu Warszawskiego sojusz północnoatlantycki. Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że posłużył on do propagowania „końca historii” w znaczeniu nadanym temu terminowi przez Francisa Fukuyamę, co nie przyniosło Zachodowi większych korzyści. Przeciwnie, naraziło USA na ponoszenie kosztów i nakładów, które można było spożytkować na inne cele i w inny, bardziej racjonalny sposób. Obecnie koszty utrzymania wielostronnego i rozbudowanego ponad racjonalną miarę sojuszu przerastają możliwości Stanów Zjednoczonych. Nie odpowiada im także wysoki stopień zideologizowania solidarności sojuszniczej, która prowadziła w ostatnich trzech dekadach do propagowania przywództwa misyjnego i transformacyjnego wobec świata zewnętrznego, ze szkodą dla rozwoju własnego. Obecny zwrot w stronę przywództwa transakcyjnego pociąga za sobą wysokie koszty wzięcia pełnej odpowiedzialności Unii Europejskiej za własne bezpieczeństwo. Stąd mobilizacja zbrojeniowa, niemająca precedensu w historii. Jej wielorakie skutki są trudne do przewidzenia.

Wielu obserwatorów przestrzega, że Europa nie posiada ani silnego przywództwa, ani sprawnych mechanizmów decyzyjnych. Brakuje jej też libido dominandi, które charakteryzują wielkie imperia. Dziś widać, że nieracjonalne zaangażowanie w wojnę przeciw Rosji na Ukrainie przyniosło więcej strat niż zysków, tak w dziedzinie gospodarczej, energetycznej, jak i wojskowej. Także pod względem wizerunkowym instytucje paneuropejskie

tracą oręż w konfrontacji z Rosją. Jest ona bowiem – mimo nachalnej propagandy – przywracana do udziału w mechanizmach konsultacyjnych, czemu nie będzie mogła zapobiec nawet najbardziej rusofobiczna ofensywa medialna.

Unia Europejska nie ma mocy sprawczej, aby formułować i wcielać w życie w skali globalnej atrakcyjne wizje powszechnego porządku. Takie moce mają jedynie wielkie potęgi, które dysponują scalonymi zasobami w jednej organizacji politycznej, zdolnej do mobilizacji swojej siły i jej projekcji na świat. Tylko Stany Zjednoczone, Chiny i Rosja spełniają obecnie ten warunek. Na nic więc przydają się tu moralne potępienia zachowań tych potęg, ani negowanie stosowanych przez nie metod i środków ekspansji. Czas najwyższy zrozumieć, że są one nastawione przeciw nie na uszczęśliwianie ludzkości, lecz na zwyciężanie w konfrontacji różnych wizji, zdobywanie nowych zasobów, generowanie energii i umacnianie zdolności władczych.

Gdy Stany Zjednoczone stały w czasie „zimnej wojny” zdecydowanie po stronie Starego Kontynentu, kolejne pokolenia Europejczyków zdążyły się przyzwyczaić do psychologicznego komfortu i trwałości amerykańskiego „parasola ochronnego”. Ba, zgodziły się nawet poza wyjątkowymi Europejczykami, jak gen. Charles de Gaulle, na zwasalizowanie swoich państw wobec Ameryki za cenę rosnącego dobrobytu i bezpieczeństwa.

Tymczasem solidarność ideologiczna i wiarygodność sojusznicza nie trwają wiecznie. Historia uczy, że mają one własną dynamikę, pochodną zmieniających się układów sił wewnętrznych i zewnętrznych. Gdy lider sojuszu dokonuje głębokich przewartościowań w swojej strategii międzynarodowej, która jest narzucana sojusznikom, siłą rzeczy dochodzi do dysonansów i komplikacji we wzajemnym zrozumieniu. „Ukraińska pułapka” obnażyła kryzys zaufania i lojalności wewnątrz sojuszu, jakiego nie było od czasu jego powołania. Kryzys NATO...

polega także na tym, że poprzez ideologizację jego doktryny,

którą śmiało można nazwać „zaczadzeniem rusofobią”, traktatowe cele obronne i pomocowe zostały przekształcone w ich przeciwieństwo – ekspansję na obszar poradziecki i agresywne nastawienie do Rosji. Sojusz północnoatlantycki stał się orężem w nowej „zimnej wojnie”, znajdując uzasadnienie dla swojej racji istnienia w kreowaniu wroga na Wschodzie. Kręgi republikańskie w USA, nieprzychylnie nastawione do euroatlantyckich sojuszników przyznają dzisiaj, że krucjata NATO na wschód Europy, w tym na obszary poradzieckie, doprowadziła do kosztownej destrukcji zachodniego systemu bezpieczeństwa oraz do degeneracji moralnej sojuszników.

Sojusz północnoatlantycki na życzenie USA angażował się w imię „totalnej demokracji” w liczne, bardzo kontrowersyjne interwencje zbrojne w Afganistanie, Iraku czy Libii, ale nigdy realnie nie oparł się na art. 5 traktatu waszyngtońskiego, choć tak chcieli europejscy sojusznicy w przypadku wyprawy do Afganistanu w 2001 roku. W rezultacie zobowiązania sojusznicze, zwłaszcza lidera koalicji wobec reszty uczestników nigdy nie zostały sprawdzone w praktyce obronnej. Operacja Enduring Freedom (Trwała Wolność) miała charakter interwencji wojskowej i ekspedycji karnej wobec talibów. Na dodatek z marnym skutkiem.

Problemem stała się także wielkość sojuszu, negatywnie wpływająca na jego spójność i efektywność. Przede wszystkim zbyt duża liczba zróżnicowanych uczestników utrudnia koordynację, a liczne asymetrie w potencjałach i zdolnościach operacyjnych rodzą sprzeczności i napięcia. Ostatecznie im większy stawał się sojusz, tym mniej istotny był wkład pojedynczych państw, zwłaszcza tych małych i słabych. Malała też ranga indywidualnych zobowiązań, co ostatecznie zrodziło po stronie amerykańskiej rozczarowanie. Na przykład trzy republiki bałtyckie, aby kompensować swój znikomy wkład przybrały postawy agresywne i zaczepne wobec Rosji. Za przyzwoleniem lidera sojuszu stały się państwami „frontowymi” i „nowymi wojownikami”, działającymi w imieniu Zachodu.

Zarażając innych uczestników panicznym strachem przed rosyjską agresją przyczyniały się do legitymizowania zasadności lokowania wojsk amerykańskich na wschodniej flance sojuszu.

Formatowanie na nowo więzi sojuszniczych, a nawet groźba ich zerwania przez USA, powinny być odczytywane w szerszym kontekście geopolitycznym. Tracąc hegemoniczne przywództwo w systemie międzynarodowym, przede wszystkim ze względu na wzrost potęgi Chin, Ameryka uznaje, że utrzymanie „parasola ochronnego” nad Europą jest dla niej zbyt kosztowne, jeśli ma sprostać rywalizacji globalnej. Przeciągając Rosję na swoją stronę USA szukają w trójkącie rywalizacji potencjalnej przewagi, a zrywając europejskie zobowiązania, zyskują środki i czas na sanację wewnętrzną i rekonstrukcję transakcyjnej współpracy. W tym sensie „pośrednia” wojna (proxy war) z Rosją na Ukrainie wydaje się im środkiem irracjonalnym, przynoszącym szkodę.

Panika, jaką wywołuje Trump i jego ekipa wśród zachodnich sojuszników jest wynikiem ignorancji w dziedzinie historii i niekompetencji w zakresie analizy polityki, tak w kręgach politycznych i medialnych, jak eksperckich i naukowych. Obie te słabości przeszkadzają w zrozumieniu jednej ważnej prawidłowości, występującej w stosunkach międzynarodowych. Otóż od tysięcy lat, odkąd państwa zagospodarowały przestrzeń globu i zaczęły ze sobą rywalizować i współpracować, ich narzędziami polityki stały się rozmaite koalicje, alianse i porozumienia. Aż do II wojny światowej przymierza te miały charakter luźny i niezinstytucjonalizowany. Dynamika i zmienność układów sił decydowały o ich przejściowym, czasowym charakterze. Dzisiejsi sojusznicy i partnerzy stawali się jutrzejszymi rywalami i wrogami. I odwrotnie, wczorajsi wrogowie przeobrażali się w dzisiejszych sojuszników.

Konsternacja związana z przewartościowaniem zobowiązań sojuszniczych USA w ramach NATO pokazuje, że żaden z europejskich liderów nie pamięta o tych doświadczeniach historycznych. Uwierzono, że solidarność ideologiczna

koalicjantów spełnia rolę tak mocnego spoiwa, że sojusz mimo prawie ośmiu dekad istnienia i zwyczajnego moralnego zużycia się, będzie trwać wiecznie. A przecież w ciągle zmieniającym się świecie przychylność możliwych liderów i protektorów jest zależna nie tylko od kaprysów polityków, ale i zmiennych interesów potęg. Na tym tle rozkład i obumieranie największego sojuszu w dziejach są nieuchronne.

Teraz to wola rządzących Ameryką decyduje o statusie wewnątrzsojuszniczych zobowiązań. Można oczywiście obrażać się na takie postępowanie, zarzucać Trumpowi i jego ekipie intencje egoistyczne i skrajnie indywidualistyczne, ale samo narzekanie nie uratuje wspólnoty atlantyckiej. Zatem im szybciej państwa europejskie zrozumieją wyzwania chwili, tym większe mają szanse na korzyści z nowego ułożenia się z USA, nawet kosztem utraty wizerunku. Jak widać, „pójście do Canossy” czeka nie tylko wodzów z Kijowa. Za jakiś czas nowy „hołd lenny” złoży zapewne cała drużyna ich europejskich popleczników.

Ostatnia szansa Europy

Europa potrzebuje obecnie realistów politycznych zamiast moralistów i moralizatorów. Nowy „niemiecki Fryderyk” ma szansę wyjść poza syndrom ogłupienia zbiorowego i zawrócić europejskich szaleńców z obranej drogi do katastrofy. Może też dzięki pokojowi powstrzymać niebezpieczny proces deindustrializacji największej gospodarki przemysłowej Europy i donatora całej Unii Europejskiej poprzez przywrócenie zaopatrzenia w tanie rosyjskie nośniki energetyczne.

Obecnie widać, jak naiwna wierność wartościom tworzącym niebezpieczne iluzje, kończy się blamażem. Stolice europejskie, zwłaszcza Berlin, Paryż i Londyn, stają przed historyczną szansą przekroczenia granic swojego dogmatyzmu i „wyjścia z twarzą” z „ukraińskiej pułapki”. Niestety, wśród przywódców europejskich nie ma takich na miarę mężów czy dam

stanu, więc za wiele nie można od nich oczekiwać. Szkoda, że żaden z polskich polityków, mimo pretensji i wrywania się przed szereg, nie jest w stanie zaimponować mądrą inicjatywą, ani udowodnić, że Polska mimo swojego „zelotyzmu” zasługuje na realny status „moderatora” czy „brokera” pokoju.

Elity waszyngtońskie dysponują wystarczającą mocą perswazji, wpływu i nacisku, aby przywołać sojuszników do subordynacji. Przywódcy państw europejskich z UE i NATO dość późno uświadomili sobie, że możny protektor zza oceanu nie liczy się z ich podmiotowością. Mogą szybciej niż im się wydaje być obrócenii w środek prowadzący do celu. Tymczasem Orbán i Fico już mają swoje oryginalne miejsce w historii, gdyż mimo zbiorowych nacisków potrafili obronić swoje racje i „zachować twarz”, nie poddając się rusofobicznej propagandzie i właściwie zakwalifikować konflikt ukraiński z punktu widzenia interesów własnych i europejskich. Politycy ci zasługują na uznanie ze względu na trzeźwość umysłu, odwagę i odporność, a przede wszystkim zdolność do kalkulacji ryzyka przeniesienia wojny na Ukrainie na państwa sąsiedzkie.

W obecnej sytuacji wiele wskazuje na to, że europejscy wasale Ameryki nie są w stanie wykreować klarownej strategii akomodacyjnej wobec zmieniających się okoliczności. Porywanie się na wielkie inwestycje zbrojeniowe jest drogą donikąd, gdy w sukurs im nie idzie dyplomatyczny wysiłek normalizacyjny. Zawziętość w obronie dotychczasowych stanowisk oraz atawistyczna nienawiść do Rosji i Putina blokują krytyczny osąd państwa ukraińskiego i jego marionetkowego przywództwa. Tymczasem Trump i jego współpracownicy pokazują drogę, jak można szybko i skutecznie przewartościować dotychczasowe mity i wejść na drogę obiektywizacji własnych strategii.

Na europejskich liderów czyhają liczne pułapki. To, że mogą wypaść z łask atlantyckiego protektora jest dość oczywiste. Mają jednak także zagrożenia na własnym podwórku. Muszą liczyć się z cierpliwością i wytrzymałością swoich społeczeństw, które odwracają się od wspierania Ukrainy ze względu na

negatywne skutki gospodarcze. Mobilizacja ugrupowań przeciwnych wojnie doprowadzi ostatecznie do odejścia z polityki w niesławie ludzi zagubionych w swoich zakłęciach i błędnych kalkulacjach. W międzyczasie Ameryka z Rosją i Chinami, bez udziału Europejczyków, dokona nowego rozdania w poligonicznym (wielobiegunowym) układzie sił. Jakie będą więc zasady hierarchicznego porządkowania nowych zależności? Gdzie znajdzie swoje miejsce Unia Europejska, która nigdy nie stanie się spójnym sojuszem militarnym? To są pytania pod adresem wszystkich pseudoliderów, którym nie zależy na rozwiązaniu problemu, lecz na kontynuowaniu wojny.

Dlatego słuszne są oczekiwania po stronie najważniejszych graczy sceny międzynarodowej, aby jak najszybciej przystąpić do rekonstrukcji środków budowy zaufania. Aby przywrócić wiarygodność i ufność (*pacta sunt servanda*) oraz zasadę dobrej wiary (*bona fides*) w porozumieniach dyplomatycznych. Przede wszystkim należy przestać obwiniać się nawzajem, jak małe dzieci, kto pierwszy zaczął łamać reguły gry. W kontekście stosowania przywołanych zasad pojawia się problem przywrócenia roli etyki w rozmowach i zachowaniach po każdej ze stron, a więc m.in. niewprowadzania w błąd drugiej strony (stron), unikania kłamstw i fałszerstw, niestosowania oszustw, szantażu, przekupstwa, podstępu, nieużywania obelg, nieszkodzenia drugiej stronie. Niestety, ukraińscy wodzowie przodują pod tym względem, choć wszyscy ich stronnicy winią za to Rosję i Putina.

Pokój nie wojna

Przystąpienie do koalicji na rzecz realnego pokoju wymaga teraz odwagi i przyznania się do błędów. W przypadku wojny na Ukrainie nikt nie jest bez winy. Oczywiście, takie akty rachunku sumienia i odpowiedzialności nikomu nie przychodzą łatwo. Opowiadanie natomiast o konieczności osiągnięcia „sprawiedliwego pokoju” oznacza, że przywódcy europejscy żyją w jakiejś idealistycznej i otumaniającej ich bańce i przestali

rozumieć reguły, które sami głoszą. Jeśli hasłem Ursuli von der Leyen jest „pokój przez siłę”, to naprawdę podyktuje go ten, kto w dotychczasowym krwawym starciu okazał się silniejszy. Czekanie, aż to Europa będzie w stanie go osiągnąć, oznacza dalsze wykrwawianie Ukrainy i wróży pożogę całej unijnej wspólnoty. Ukraina bez wsparcia Zachodu już dawno przegrałaby tę wojnę, a teraz widać, że to ona poniesie największe konsekwencje „zawarcia” pokoju. Dla niej każde rozwiązanie będzie niesprawiedliwe. Nigdy zresztą w historii nie było „sprawiedliwych wojen”, ani tym bardziej „sprawiedliwych pokojów”. Dlatego rewizjonizm i rewanżyzm są następstwem każdej regulacji pokojowej i paliwem dla przygotowywania kolejnych wojen.

Sprawiedliwość w stosunkach międzynarodowych jest jedynie moralnym postulatem i zawsze – podobnie zresztą jak prawo – stanowi wyraz realnych układów sił. Odwołuje się do nie zawsze uczciwego i bezstronnego postępowania w sprawie odpowiedniego rozdziału dóbr czy wartości na podstawie z góry ustalonych kryteriów, np. parytetu, proporcjonalności czy priorytetu. Jest zawsze wykorzystywana przez strony konfliktów jako broń taktyczna, aby rościć sobie prawo do „lepszego” postaw moralnych. Takie zachowanie prowadzi do przypisywania „większej moralności” własnemu stanowisku w porównaniu ze stanowiskiem drugiej strony. Ponieważ każda ze stron konfliktu utwierdza się w przekonaniu o słuszności własnego stanowiska, zatem jest to prosta droga do „pata negocjacyjnego”. Różne rozumienia sprawiedliwości z lekceważeniem stosunku sił prowadzą do eskalacji sporu, a nie jego rozwiązania.

Wydaje się, że unijna i natowska Europa jest na dobrej drodze do katastrofy. Poprzez zaangażowanie w wojnę na Ukrainie przeciw Rosji na własne życzenie pozbyła się strategicznego dostępu do tanich rosyjskich zasobów energetycznych. Obecnie natomiast przystąpiła do fatalnego w skutkach dla swojego bezpieczeństwa rozvodu z Ameryką „za nieporozumieniem stron”, co doprowadzi do osłabienia, a nawet – nie daj Boże –

likwidacji amerykańskiego „parasola ochronnego”. Wyścig zbrojeń z Rosją, zanim doprowadzi do jej kapitulacji – jak wieszcz polski premier – w rezultacie zrujnuje europejskie społeczeństwa, a straty wynikłe z wyobcowania zmarginalizują Europę do roli obrońcy wyimaginowanego ładu, który bezpowrotnie przeminął.

Autorstwo: prof. Stanisław Bielen

Źródło: MyslPolska.info